

**Marek Zaleski**

Instytut Badań  
Literackich PAN

## Ekstazy Jana Błońskiego<sup>1</sup>

### Abstract

#### Jan Błoński's ecstasies

The mode of literary reading Jan Błoński advocated and even often used to practise by himself was an ecstasy, that is, being enchanted and captured. And for the literary audience he – as a literary critic and scholar – left the door ajar to the garden of literary delights, especially in the years when landscape of literary research was set by the followers of structuralism. But he did not do in this matter so much as he could have done. This essay tries to answer why it was like that.

**Słowa kluczowe:** Błoński Jan, ekstaza, krytyka literacka, czytanie

**Keywords:** Błoński Jan, ecstasies, literary criticism, reading

Słowo ekstaza jest tutaj metaforą. Odnosi się do lektury, a więc do czegoś, co z pozoru niewiele ma z nią wspólnego, bowiem jest rodzajem pracy, doszukiwaniem się znaczenia słów – jak o tym świadczy etymologia<sup>2</sup>. Lektura to słowo wywodzące się od łac. *lectus*, imiesłowu czasu przeszłego czasownika *legere*. *Legere* – znaczy „zbierać, gromadzić, wyławiać, wydłubować, dostrzegać, rozpoznawać, wybierać” (ten sam źródłosłów ma też słowo „elekcja”). Praindoeuropejski rdzeń *leg-* „łączyć razem, zbierać” zawiera się

<sup>1</sup> Tekst powstał dzięki środkom Narodowego Centrum Nauki przyznanych na podstawie decyzji nr DEC\_2011/03/B/HS2/05729.

<sup>2</sup> Podaję tu za: <http://www.etymonline.com/index.php?term=lecture> [dostęp: 9.05.2014].

w starogreckim *legein* – „mówić, powiedzieć, oznajmić”. Czytanie to tym samym zbieranie i uwytatnianie znaczenia słów. Do czasu kiedy Roland Barthes opublikował swoją *Przyjemność tekstu*, można było mówić i pisać o znaczeniu „literackim” i o przyjemności z gry „literackich” znaczeń, więc tropić semantyczną nadwyżkę. U Barthes’a była ona już rozumiana jako *jouissance* – nadwyżka wypracowana w ekonomii pragnienia, pragnienia piszącego i czytającego podmiotu. Czy była udziałem Błońskiego brylującego na wysokich pokojach literatury? Aby na tak postawione pytanie odpowiedzieć, trzeba najpierw zapytać jakim czytelnikiem był autor *Romansu z tekstem*. Błoński był zbyt podejrzliwy wobec Teorii zawiadującej produkcją już wstępnie kodyfikowanych znaczeń. Kościół Teorii nie był nigdy jego kościołem: żeby wiedzieć, która jest godzina, nie trzeba wiedzieć, jak zbudowany jest zegarek. „Tak jak z językiem: im lepiej się nim mówi, tym mniej się zna jego struktury. Analogicznie: tym bardziej jesteś X, im mniej o tym wiesz” – notował w dzienniku<sup>3</sup>. Nie bronił sobie przystępu do wiedzy zawodowo zatajanej: „ja”, także „ja” zawodowego czytelnika, „domagało się [...] ołtarza, na którym można by mu składać hołd” (BP, s. 92). Żenowały go uzurpacje literaturoznawców. Nigdy w tej roli nie występował, ale powstrzymywał się także przed ich krytyką. W dzienniku w roku 1968, we fragmencie, w którym pisze o analizie sonetu Baudelaire’a, jakiej dokonali Jakobson z Lévi-Straussem, swoją idiosynkrazję zanotował: domagał się lektury, która miałaby na uwadze inne znaczenia aniżeli tylko te tekstowe, to znaczy mające porękę w strukturze dzieła i systemie literackim epoki. To, co Błoński kryptonimował pod mianem „znaczenia”, miało wykraczać poza przestrzeń dyskursu i posiadać moc ewokowania rzeczywistości.

Zawodowa lektura poprzestająca na zdawaniu sprawy z maszynierii dobrze czy nawet mistrzowsko zrobionego tekstu nie mówi niczego o prawdziwych przyczynach zachwyty, co najwyżej próbuje je nieudolnie przetłumaczyć na język w istocie im obcy<sup>4</sup>. Tymczasem myśl czytelnika musi „wlec za sobą jakieś niewyraźne cierpienia, przypomnienia, radości, etc.”, musi pozostać refleksją „«brudną», skażoną lękiem, nadzieją na medytację «przeżytyą», w jakimś sensie doświadczoną” (BP, s. 88).

Ta [myśl – M.Z.] chyba będzie mnie zajmować, trochę z konieczności, bo nie umiem inaczej, a trochę z przekonania, bo, jak to wyłożyć się jeszcze postaram,

<sup>3</sup> Błoński przekorny. *Dziennik. Wywiady*, Kraków 2011, s. 58 (dalej cyt. w tekście jako BP z numerem strony).

<sup>4</sup> „Oczywiście, były w tym stopnie. Czym innym jest – bardzo szkodliwa, jeśli ją rozumieć dosłownie – estetyka Witkacego, czym innym estetyka strukturalistów, np. Barthes’a. Ale i dla niego nie znaczenie, które dzieło literackie niesie, budzi ciekawość i tworzy estetyczną wartość, lecz tylko wymienianie się znaczeń, migotanie sensów, drgających w historycznej przemianie. Ułożenie maxi rebusu – rebusu zdolnego funkcjonować w najróżniejszych sytuacjach dziejowych – oto najwyższa ambicja artysty” – pisał wtedy, w roku 1968 (BP, s. 89). Po latach zrewidował ocenę estetyki Witkacego, ale nigdy nie wracał do tego, co napisał był o Barthesie.

wszystkie „obiektywne” moje humanistyczne dociekania nie zaprowadziły chyba zbyt daleko. Czy zgodzić się wypadnie na jej zdolność mistyfikacyjną? Na pewno nie. Jednakże również nie można wyzbyć się jej wartości tłumaczącej, pedagogicznej wręcz. I właśnie myśl «urzeczowiona» to dla mnie myśl nauki *par excellence*. Czyli ta, która nie może ani pobudzić do działania, ani odezwać się echem w naszym doświadczeniu wewnętrznym. Jest to myśl bez widnokregu innego niż operacyjny, instrumentalny. Jej bezsiła była dla mnie bardziej oczywista niż jej siła, ale to jest oczywiście skrzywienie zawodu i wychowania. Trudno się na rozsupłanie tych kwestii porywać (BP, s. 89).

I zaraz dodawał:

Może jednak potrafię powiedzieć to zwyczajnie. Użyteczność myśli humanistycznej nie sprawdza się inaczej jak w doświadczeniu. Jeśli nie przynosi mądrości, jest niczym; rozumiem przez to nie tyle zgodę ze światem, ile ze swoim postępowaniem, rodzaj wewnętrznego przyświadczenia, niekoniecznie na byt cały – to byłoby zbyt pretensjonalne – ale na „ja jestem” (BP, s. 89).

Czym więc miało być czytanie krytyka? Błoński nigdy tego *explicite* nie wyłożył, jakby polegając na wcześniej poczynionym rozpoznaniu, że ten, kto pisać potrafi, po prostu pisze i nie szuka usprawiedliwienia. Próbuując tutaj odpowiedzieć na to pytanie, sięgam po metaforę lektury, która nie zaistniała nigdy jako projekt, ale której ślady znajdujemy w wielu tekstach Jana Błońskiego – najbardziej we wstępie do zbioru artykułów i esejów *Romans z tekstem*. To lektura jako *ekstasis*, czyli wytrącenie z równowagi i zarazem bycie przychwyconym<sup>5</sup>. Lektura nie tylko sprawozdająca zachwyt, stanowiąca odpowiedź na napotkane piękno, które przecież – jak wielu utrzymuje – to, co sobą wyposaża, odziera z sensu, wtrącając widza czy czytelnika w niemotę. Taka lektura to nierzadko konfuzja, doświadczenie bezradności czy niepokoju. Można więc uznać, że sprowadza się do r o z k o s z y, tak jak pojmuje ją Barthes, czyli do lacanowskiej *jouissance*. Jest lekturą w afekcie, a właściwie lekturą noszącą ślad afektu, jednak polskie słowo „rozkosz” z uwagi na swoje pozytywne tylko konotacje odcina tu część afektywnego pola, w jakim owa lektura się dokonuje.

Dlaczego w pisaniu Błońskiego dostrzegam raczej ślady owej lektury, aniżeli jej spełnienie? Błoński mógł być przewodnikiem w dziele dokonywania transgresji w polskiej kulturze literackiej większym niż czynni w niej podówczas transgresorzy i transgresorki. Zawodowym czytelnikom literatury uchylił drzwi do ogrodu literackich rozkoszy, ale jakby chyłkiem i trochę pokątnie. Błoński był furtianem tego ogrodu, przyjaznym dla profanów furtianem, który

---

<sup>5</sup> Greckie *ekstasis* to wprawianie się w stan transu, ekstazy, zachwyty, ale także w Nowym Testamencie *existanai* oznacza „bycie wytrąconym z równowagi, przemieszczonym”, a *existanai frenon* „odwiedzonym od rozumu”. Z kolei siedemnastowieczni mistycy i mistyczki używali słowa „ekstaza” na oznaczenie stanu bycia pochwyconym przez Boga, porwanym przez Boskiego oblubieńca. Por. [http://www.etymonline.com/index.php?allowed\\_in\\_frame=0&search=ecstasy&searchmode=none](http://www.etymonline.com/index.php?allowed_in_frame=0&search=ecstasy&searchmode=none) [dostęp: 09.05.2014].

nie dał się zastraszyć i skorumpować autorytetem Nauki. Do jej dostojęstwa odwoływało się literaturoznawstwo, w którym on sam terminował. Ale jednak nie zrobił tyle, ile mógłby zrobić w tym względzie. Czy dlatego, że dał się sterroryzować demonowi Teorii, a mówiąc w skrócie, nadwiślańskiemu strukturalizmowi stojącemu ówczesznie w glorii wiedzy politycznie niepoprawnej? Czy – przeciwnie – nie zrobił tego, bo wobec Teorii żywił pobłażliwą nieufność (czego nie można powiedzieć o Barthesie). Zrobił tak wiele dla Barthes’a strukturalisty! – ale Barthes’a poststrukturalistę, autora książek takich, jak *Sade*, *Fourier*, *Loyola*, *Przyjemności tekstu*, *Fragmenty dyskursu miłosnego*, autora, z którym zdarzało mu się mówić chwilami niemal jednym głosem, pozostawił innym. Melancholia wyczuwalna w laudacji Sławińskiego – myślę o tekście *Za co powinniśmy kochać Jana Błońskiego?*<sup>6</sup> – nie jest tą, którą odczuwa dzisiaj czytelnik *Romansu z tekstem*. Sławiński wyraźnie dawał do zrozumienia, iż Błoński nie mógł stać się w pełni Błońskim, dlatego że nie mógł przekroczyć administracyjnie zakreślonej linii kredowego koła. Ale dziś chyba nie mamy pretensji do Błońskiego, że w swoim czasie nie skorzystał z możliwości, z jakiej skorzystali piszący poza cenzurą. To niespełnienie lokuje się raczej gdzie indziej. W tym, że nie stał się tym kimś, kim mógłby się stać, gdyby jako czuły i rozumiejący czytelnik odwojował dla nas kategorie, które w literaturoznawstwie zostały odwojowane przez Barthes’a właśnie? Rzecz nie w tym przecież, że nie stał się polskim Rolandem Barthesem! Zanadto był sobą, ale i zanadto u niego dużo rozumnego przecież dystansu, właściwego komuś z tej Europy „gorszej”, za to wyposażonej w wiedzę uodporniającą na zgubne uroki *écriture* i paroksyzmy *jouissance*. W liście do Mrożka z 7 marca 1967 roku, zdając sprawę z hektycznego rytmu swego paryskiego życia, pisał: „sam już dałem spokój obradom – raz tylko zająrzałem na gadaninę w Seuil”<sup>7</sup>. Czy dał się sterroryzować obowiązkom wobec literatury polskiej, gdzie akcje takiego Barthes’a stały raczej nisko. Barthes, o ile mi wiadomo, nie był tematem rozmowy Błońskiego z Miłoszem – znaczące zaniechanie... Słowem, Błoński-pisarz jakby przydepnął gardła swojej pieśni. Ekstazy pozostały zaledwie zamarkowane w tytułach jego książek, w zdaniach, gdzie dawał przystęp nudzie, zachwytowi, wstrętowi, zdziwieniu, lękowi, w konkluzjach, w stylu lektury<sup>8</sup>. Jednak „to wszystko, co było pod pisaną krytyką, pod wypowiedzią «oficjalną»” – jak sam to kwalifiko-

<sup>6</sup> Por. J. Sławiński, „Za co powinniśmy kochać Jana Błońskiego”, „Teksty” 1979, nr 4, s. 1.

<sup>7</sup> Editions du Seuil mieściło się na rue Jacob i ukazały się w nim książki Barthes’a, Lacana, Sollersa, Kristevy *et consortes*, również *Czerwona książeczka* Mao, ale przecież i *Archipelag Gula* Sołżenicyna.

<sup>8</sup> Miłosz to według niego poeta polski „najmocniej zakochany w świecie” (J. Błoński, *Mieszaniny*, Kraków 2001, s. 40). I Błońskiego lektura Miłosza stanowi „reprodukcję zachwyty poety, który to afekt niekiedy jest reprodukowany w stylu lektury, ale częściej jest estetycznie reprodukowany w hermeneutyce tej poezji”, jak pisze o tym Piotr Karwowski w swojej pracy doktorskiej *O trzech postaciach ideologii estetycznej w twórczości Czesława Miłosza: metalepsa, synekdocha, mimesis* (Warszawa 2014, s. 193). Oto przykład konkluzji stanowiącej efekt stosowania tej drugiej strategii: „Świat Witkacego zbudowany został [...]

wał (BP, 97), a czego istnienie zauważał w dzienniku (a nie miał na myśli treści politycznych), jakoś nie wynurzyło się na powierzchnię. Autocenzura Dyscyplina raczej: ekonomia, jaką sobie ustanawia człowiek niepewny własnych środków, człowiek żyjący w intelektualnej prowizoryczności – jak przyznawał w dzienniku, ale zarazem ktoś, kto chce czynić użytek z przysługującej mu wolnej woli, więc ktoś, kto nie utożsamia wolności z utratą samokontroli, jak zadłużający się u Lacana Barthes. Był w tym względzie bardziej staroświecki, co uodporniało go na ekscesy ponowoczesnej duchowości ekstatycznej<sup>9</sup>. Ojciec europejskiego racjonalizmu, Kartezjusz, podziw – kontaminację zachwytu i zdziwienia, fascynację tym, co niezwykle i niespodziewane, uznawał za „pierwsze ze wszystkich uczuć”<sup>10</sup>. Przestrzegał, że – gdy przechodzi w nałóg, zamienia człowieka w niewolnika *divertissement*. Nie poznanie czyni bowiem naszym celem, ale zabawę. Dziś – kiedy oczekujemy nieustannie, że będziemy zaskakiwani, oszalamiani, uwodzeni – ta namiętność stanowi zagrożenie większe może niż dawniej? Błoński ze swoją potrzebą adoracji był wolny od tej pokusy. Uwielbienie, jakie żywił wobec „swoich” autorów, nie zamieniało się w mgłę stojącą na przeszkodzie ostrości widzenia. Znamienne w tym względzie jest pierwsze zdanie drugiego tomu jego monografii Stanisława Ignacego Witkiewicza: „Witkacego nie można czytać – oglądać – obojętnie. Czy jednak zachwycał? Przecież nie: często drażni, przede wszystkim zaś zdumiewa. I wolno sądzić, że tego właśnie – estetycznego! – efektu nieustannie poszukuje” – zaczyna Błoński, po czym w długim wywodzie pracowicie zastanawia się nad właściwą „wariatowi z Krupówek” „zdumiewającą zdolnością odnawiania własnych znaczeń”<sup>11</sup>. Ale skądinąd nie ma w tym nic dziwnego: podziw jest wzruszeniem zrodzonym z bycia zaskoczonym, ze spotkania z tym, co niezwykle. Błoński zanotuje:

Największym urokiem *Ferdydurke* jest – moim przynajmniej zdaniem – jej zupełna nieprzewidywalność. Roi się ona od niespodzianek – sytuacyjnych, osobowych, stylistycznych – i stąd aura młodości, niezwykłości, radosnego oczekiwania, jaka z niej emanuje.

Świat *Ferdydurke* jest otwarty – otwarty na zmianę, inność, różnicę. Życie jej bohatera [...] składa się z przygód, ze zdarzeń zupełnie niezwykłych, nieoczekiwanych, i co może ważniejsze, do siebie niepodobnych [...] On sam jest równie nieobliczalny jak świat<sup>12</sup>.

---

z estetycznej ekstazy (którą Witkacy określał jako jedność w wielości) i niepokonalnej depresji, [...] samo-zgubnej fascynacji śmiercią” (*Mieszaniny*, s. 6 i 7).

<sup>9</sup> Charakteryzuje ją Agata Bielik-Robson w szkicu *Melancholia i ekstaza. Dwie formuły subiektywności*, w książce *Inna nowoczesność. Pytania o współczesną formułę duchowości*, Kraków 2000.

<sup>10</sup> R. Descartes, *Namiętności duszy*, przeł. L. Chmaj, Warszawa 1986, s. 101.

<sup>11</sup> J. Błoński, *Witkacy: sztukmistrz, filozof, estetyk*, Kraków 2000, s. 42.

<sup>12</sup> J. Błoński, *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu*, Kraków 2003, s. 17.

Historia bycia pochwyconym przez Gombrowicza najlepiej ilustruje styl obcowania z literaturą, o którym tu mowa. Błoński zdawał sobie przecież doskonale sprawę z tego, że nieraz przychodzi nam tańczyć w kole uwielbień i sam nieraz zabawnie teatralizował swoją admirację. Pragnienie, by podziw właśnie był pierwszą przyczyną, świadczyło, jak trafnie rozpoznawał sytuację: „ci, którzy nie mają żadnej skłonności naturalnej do żywienia tej namiętności, są zazwyczaj wielkimi ignorantami” – poucza filozof<sup>13</sup>. Podziw potrzebny jest nam do zatrzymywania w pamięci rzeczy, które jako nieznane trudno nam oswoić i które stawiają nam opór. Dreszcz zdziwienia w obliczu tego, co zdumiewa, jest katalizatorem reakcji, która wreszcie stanowi epilog naszej emocji. Podziw jak każdy afekt jest wirtualnością, polem możliwości. W podziwie jako w oszołomieniu tym, co nagle i niespodziewane, skryta jest możliwość sprzecznych reakcji: zachwytu i zgrozy, a co najmniej konfuzji<sup>14</sup>. Polsczyzna w tym względzie faworyzuje jedno ze znaczeń. Myślę, że dla Błońskiego fascynująca była właśnie owa ambiwalencja, którą dostrzegał w osobach czy przedmiotach swojej fascynacji. Czyli *fascinatum* postrzegane jako *fascinans*. Najważniejsze było to, że dostarczały mu okazji do spotkania z tym, co niespodziewane.

Swoją przygodę z Gombrowiczem wspominał: „Postępował ze mną tak jak z innymi – także w dziele pisany – i uczciwie przyznaję, że czasem mnie mulił, a nawet nudził. Ale ani na chwilę nie przestawałem go podziwiać”<sup>15</sup>. Jego eseje o Gombrowiczu, nie mówiąc już o notatkach z dziennika, stanowią zapis urzeczenia, ale też skrupulatnie, choć nieraz dyskretnie pisany protokół rozbieżności, w którym autor poddaje ukochanego przez siebie autora drobiazgowej wiwisekcji. „Chciałem wiedzieć, «jak on to robi», i gotów byłem wielbić bez końca”<sup>16</sup>. Można więc chyba powiedzieć, że Proustowską formułę *voir clair dans le ravissement* Błoński rozciągnął na całość własnej praktyki krytyka i badacza literatury. Warto może jeszcze tu dopowiedzieć, że przez całe życie był wierny swoim pierwszym fascynacjom.

Nie była to więc lektura stanowiąca zapis zatracenia się w przedmiocie zachwytu. Nazwijmy tę autocenzurę mądrością temperującą poezję egzystencji, w której „przepaść wzywa przepaści”. Zatem moderował się – ale w imię czego? W imię lęku przed utratą suwerenności w obliczu przedmiotu adoracji? Ekstaza, wedle niektórych, nie musi oznaczać ubezwłasnowolnienia – może potęgować moc działania. Jeśli naznacza radością, to z powodu pewności obcowania z prawdą, doświadczaną jako prawda istnienia. Zachwyt, podziw, we-

<sup>13</sup> R. Descartes, *op.cit.*, s. 111.

<sup>14</sup> Zdziwienie (*admiratio*) wedle Spinozy, „gdy wywołane przez przedmiot, którego się lękamy, zwie się przerażeniem (*consternatio*); zaś uwielbienie (*devotio*) jest to miłość ku temu, co wprawia nas w zdziwienie” (Spinoza, *Etyka*, przeł. I. Myśliński, Warszawa 2008, s. 202 i 220).

<sup>15</sup> J. Błoński, *Forma, śmiech...*, s. 277.

<sup>16</sup> *Ibidem*, s. 279. Ale wcześniej zapisze: „Był więc dla mnie zarazem fascynujący i obcy” (s. 278).

dle Kartezjusza, jest spotkaniem z tym, co wprawia nas w zdziwienie, i co pogłębuje nasze istnienie: jak pamiętamy, „ci, którzy nie mają żadnej skłonności naturalnej do żywienia tej namiętności, są zazwyczaj wielkimi ignorantami”<sup>17</sup>. Błoński tęsknił do tego, jak o tym możemy przeczytać we Wstępie do *Romansu z tekstem*, by żyć w podziwieniu, by być pochwyconym i chwycić samemu przedmiot zachwyty: „Proces badawczy jest jednak procesem rozjaśniania? Zapewne, ale tak samo jak miłość jest pragnieniem zagarnięcia”<sup>18</sup>. Ale jako człowiekowi i autorowi swoich tekstów chodziło mu jeszcze o coś więcej. Jak pamiętamy, Błoński notuje w swoim dzienniku: mądrość jest zgodą na zapisane własną ręką zdanie „«ja jestem»”. Myślenie Błońskiego krąży wokół ideału zgody na samego siebie, wokół zdziwienia byciem tym, kim się jest, jedynym i неповtarzalnym, które to bycie jest u niego zarazem figurą zachwyty nad mądrością istnienia i skrytym w nim ładem. Błoński nie posiłkował się tekstami Maxa Schelera. Ale Scheler ze swoim ideałem *ordo amoris* katolikowi, którym był Błoński, jest przecież bardzo bliski.

Ekstaza zatem to doświadczanie pełni – pełni istnienia. Błoński wybierał takich pisarzy, których literatura, rozpięta na biegunach euforii i rozpacz, zabiegała o reprezentację doświadczenia pełni. Taki był Miłosz, taki był Witkacy. Ale czytał ich zgodnie z zaleceniem Gombrowicza, piewcy temperatur średnich. W mądrości ćwiczył się, jakby podążając za zaleceniem wspomnianego już tu filozofa, który zasadę ładu czynił *arche* istnienia, budując gmach wiedzy, która pozwala unikać złych spotkań ze światem, pomaga w nim się zadomowić, zawrzeć z nim pakt o nieagresji. I w końcu taką lekcję Gombrowicza dał w notatce *Najkrócej o Gombrowiczu* zamieszczonej w „Tygodniku Powszechnym” w roku 2001 (i przedrukowanej potem w książce *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne*), choć kiedy zaczynał go czytać na dobre w latach sześćdziesiątych, czytał w sprzeczności do niego jako do terrorysty, który dość cynicznie narzuca swoje kategorie, lekceważąc splątanie i relatywność istnienia, i który pozostaje głuchy na hałas wielości rzeczywistości, „będącej bogatszą od wszystkiego, co pomyśleć umie ludzki umysł” (BP, 93).

Napisałem „wreszcie”, bo jeszcze w tekście *Strzykawka Gombrowicza* (więc tekście z roku 1981), nie umiał pogodzić się z tym, że jego uwielbiany autor, który całe życie zabiegał o to, aby być w doskonałej zgodzie z własnym dziełem, stworzyć siebie jako postać właśnie, nie potrafił konsekwentnie zastosować się sam do własnego zalecenia, jakie dawał jemu, swemu trzydziestoparoletniemu rozmówcy z Polski: „niech pan żyje dla siebie, człowiek żyje przede wszystkim dla siebie”. Ta formuła wróciła w dzienniku Błońskiego, tyle że znaczyła dla niego trochę co innego: oznaczała właśnie zgodę na „ja jestem”. Ale po tym zacytowanym wcześniej przeze mnie „ja jestem” następował dopisek: „A więc także na «ja umrę». Za Platonem powtórzyć więc trzeba, że prawdziwym filozofem jest ten, który nauczył się umierać” (BP, 89). Znamienne, że dziennik z roku 1968 rozpoczyna się tak:

<sup>17</sup> R. Descartes, *op.cit.*, s. 101 i 111.

<sup>18</sup> J. Błoński, *Romans z tekstem*, Kraków 1981, s. 20.

Do trzydziestego szóstego roku życia sądziłem, że jestem nieśmiertelny. Może mnie to nawet i dziwiło czasami: nie tyle nawet niechęć, ile niezdolność myślenia o śmierci. Myśl ta umykała, gubiła się zawsze wśród innych: stąd zapewne i wnioski, że każda myśl, aby się spełnić, potrzebuje jakiegoś fundamentu, jakiegoś widnokregu przed-intelektualnego, zaczerpniętego czy ze zmysłowych, zewnętrznych czy wewnętrznych doświadczeń. A już w każdym razie myśl odnosząca się do człowieka i jego – w najszerszym znaczeniu (BP, 87)

We wspomnieniu *Strzykawka Gombrowicza* Gombrowicz jest kimś, komu zabrakło właśnie fundamentu: cała jego lotna egzystencja była tylko grą. Był Proteuszem, ale płacił za to niebagatelną cenę: nie potrafił pogodzić się z nadchodzącą śmiercią. Błoński zobaczył starego Gombrowicza, który przestał być panem samego siebie, przestał więc być „dla siebie”<sup>19</sup>. Ale w miniseju z roku 2001 – który zaczyna się zmiennym zdaniem: „Gombrowicz nie chciał nikogo zbawiać ani pouczać”<sup>20</sup> – już ta pretensja staje się nieważna, w każdym razie perspektywa zawiedzionego się nie pojawia. Gombrowicz jest aprobowany przez Błońskiego jako pan swego losu. Chciałoby się powiedzieć za bohaterem jednej z książek Błońskiego „*Eheu*, jak gwałtem obrotne obłoki, i Tytan prędko lotne czasy pędzą...”<sup>21</sup>. To może kolejny epizod Błońskiego w „grze o tajemnicę istnienia”<sup>21</sup>, tyle że nie bohaterowie literaccy byli tym razem jej uczestnikami.

## Bibliografia

Błoński przekorny. *Dziennik. Wywiady*, Kraków 2011.

Błoński J., *Mieszaniny*, Kraków 2001.

Błoński J., *Romans z tekstem*, Kraków 1981.

Błoński J., *Witkacy: sztukmistrz, filozof, estetyk*, Kraków 2000.

Błoński J., *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu*, Kraków 2003.

---

<sup>19</sup> „Inaczej mówiąc – powiada Błoński – w swoim wewnętrznym świecie nie mógł zrobić żadnego miejsca dla śmierci, ponieważ ten świat został raz na zawsze określony jako możliwość zmiany, śmierć zaś kazałaby mu się zgodzić – choćby na okamgnienie – na zamkniętą formę losu, co było zaprzeczeniem i twórczości, i postawy. Ja zaś – mimo wielkiego lęku – rozumiałbym mądrość jako zgodę na formę, w której się umiera czy umrze” (*Forma, śmiech* ..., s. 280).

<sup>20</sup> W eseju *Strzykawka Gombrowicza* czytamy: „Nigdy nie podawał się za nikogo innego niż za nauczyciela życia. Śmierć nie wchodziła w rachubę, skandalem było cierpienie, nie uważał wcale, jak Plato, że prawdziwym filozofem jest ten, kto nauczył się umierać” (*op.cit.*, s. 278).

<sup>21</sup> „Gra o tajemnicę istnienia” to tytuł pierwszego rozdziału wspomnianej monografii Witkacego. Może warto dopowiedzieć, że we wspomnianym eseju z „Tygodnika” pojawia się też stwierdzenie: „Jedyną wiecznością jaką oczekiwał, była trwałość w pamięci czytelników (widzów)”.